Edmond Hamilton

Proxy

(Proxy Planeteers)

Startling Stories, July 1947
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Doug Norris zawahał się przez chwilę. Zdawał sobie sprawę z tego, że kolejny ruch może oznaczać katastrofę.

Tutaj, głęboko w podziurawionym grotami wnętrzu pozbawionego powietrza Merkurego, katastrofa mogła spaść nagle. Skały w szczelinie, którą podążał, miały temperaturę setek stopni. I słyszał głębokie stękanie przesuwających się w pobliżu skał.

Ale to nie te codzienne niebezpieczeństwa piekielnych podziemi pierwszej planety sprawiały, że się zawahał. To jakieś drgnienie szóstego zmysłu, ostrzegało go przed zbliżającym się zagrożeniem. Drgnienie które poczuł już dwukrotnie podczas eksploracji głębiach Merkurego. Za każdym razem kończyło się to katastrofalnie.

— To tylko nerwy — mruknął do siebie Norris. — Żyła uranowa jest wyraźnie wytyczona. Muszę za nią podążać.

Gdy znów ruszył do przodu i podążył za tą cienką, czarną warstwą w ścianie szczeliny, jego oczy nieustannie wypatrywały czegoś przed nim.

Wtedy z rozgałęzienia szczeliny popłynęło ku niemu pół tuzina małych chmurek świecącego gazu. Każda z nich miała kilka stóp średnicy, była słabo świecącym obłoczkiem pary, z jaśniejszym rdzeniem.

Norris ruszył pospiesznie, aby je ominąć. Lecz nagle pojawił się rozbłysk światła. Potem wszystko przed jego oczyma zrobiło się czarne.

— Znowu mi się to przytrafiło! — pomyślał Doug Norris z ostrym niepokojem.

Gorączkowo szarpał za kontrolki, przerzucał przełączniki awaryjnego zasilania, przeciążał do granic możliwości swoją napiętą wiązkę sterującą. Nic to nie dało. Nadal niczego nie widział ani nie słyszał.

Norris z rezygnacją zdjął z głowy ciężki hełm telewizyjny, z wyłupiastymi okularami. Wpatrywał się przez chwilę w tablicę sterującą, a potem popatrzył pustym spojrzeniem przez okno, na odległe, rozświetlone słońcem hałdy nowojorskiej elektrowni.

— Kolejny proxy przepadł! Siedem rozbitych w ciągu ostatnich dwóch tygodni!

Oczywiście, to nie wydarzyło się przed chwilą. Stało się to osiem minut temu. Tyle czasu zajęło przesłanie sygnału telewizyjnego z proxy z Merkurego do stacji kontrolnej koło Nowego Jorku. I tyle samo czasu zajęło wiązce kontrolnej proxy, aby powrócić do niego na Merkurym.

Czasami tak duże opóźnienie mogło wpędzić proxy w kłopoty, zanim jego operator na Ziemi w ogóle zdał sobie z tego sprawę. Ale zazwyczaj nie rodziło to specjalnie wielkiego zagrożenia na pozbawionej życia planecie, takiej jak Merkury. Proxy, zbudowane z najodporniejszych ogniotrwałych metali, były w stanie znieść prawie wszystko prócz trzęsienia ziemi i nadal funkcjonować.

— Za każdym razem nie było żadnych oznak spadających skał ani niczego takiego — powiedział sobie z zakłopotaniem Norris. — W każdym

przypadku, proxy po prostu przerywały działanie wraz ze wszystkimi urządzeniami sterującymi.

Potem, gdy jego umysł zaczął szukać jakiegoś wspólnego czynnika dla wszystkich tych katastrof, na szczupłej, poważnej twarzy Douga Norrisa nagle pojawiło się zaskoczenie.

„Zawsze w pobliżu pojawiało się kilka tych chmur radonu czy czymkolwiek one są, za każdym razem!” — pomyślał. — "Ciekawe czy…" Nagle świdrująca myśl poderwała go na nogi. — „Święte koty! Może znalazłem odpowiedź!”

Odskoczył od pulpitu proxy, nie patrząc nawet na zestaw skomplikowanych urządzeń sterujących, i pośpieszył korytarzem.

Za mijanymi przez Norrisa szklanymi drzwiami, widać było innych operatorów przy pracy. Każdy z nich siedział przed swoim pulpitem sterującym, w telewizyjnym hełmie na głowie, przerzucając przełączniki z fachową precyzją. Każdy z nich obsługiwał mechanicznego proxy gdzieś na Merkurym.

Norris i wszyscy inni operatorzy byli szkoleni wspólnie, kiedy Kincaid rozpoczął projekt proxy. Byli dumni ze swoich stanowisk, aż do niedawna. Była to niezwykle ważna praca, polegająca na poszukiwaniu uranu, tak bardzo potrzebnego dla dostarczania energii atomowej dla Ziemi.

Uran i metale pokrewne na Ziemi zostały już lata temu wydobyte i zużyte. Na Wenus czy Marsie było go niewiele. Merkury miał dużo tego cennego metalu, w swym podziurawionym jaskiniami wnętrzu. Ale żaden człowiek, bez względu na to, jak pomysłowe byłyby stosowane przez niego środki ochronne, nie byłby w stanie wystarczająco długo przeżyć, na straszliwej, na wpół roztopionej Gorącej Stronie Merkurego, aby można było prowadzić operacje górnicze.

Dlatego Kincaid wynalazł proxy. Były to maszyny, które mogły wydobywać uran tam, gdzie ludzie nie byli w stanie dotrzeć. Bezzałogowe statki kierowane radarowo zabierały proxy do Bazy na odsłonecznej stronie Merkurego. Z bazy każdy proxy był prowadzony przez ziemskiego operatora w dół do gorących szczelin, aby odnajdować i wydobywać ważny pierwiastek radioaktywny. Schemat działał dobrze, dopóki…

„Dopóki nie weszliśmy z Proxy w te głębsze szczeliny” — pomyślał Doug Norris. — „Od tego czasu siedem zniszczonych! To musi być odpowiedź!”

Martin Kincaid popatrzył ostro w górę, gdy Norris wszedł do jego biura. Na kwadratowej, cierpliwej twarzy Kincaida pojawił się wyraz lekkiej konsternacji. Wiedział, że operator proxy nie opuściłby swojej tablicy w środku zmiany, chyba że pojawiłyby się kłopoty.

— Mów i przekaż mi złe wieści, Doug — stwierdził znużony.

— Proxy M-Pięćdziesiąt po prostu przestał reagować na moje polecenia, na dole w Szczelinie Czwartej — przyznał Norris. "Tak samo jak inne. Ale myślę, że teraz już wiem, dlaczego! — Kontynuował z

podnieceniem: — Mart, siedem proxy zniszczonych, w ciągu dwóch tygodni, to nie mógł być tylko przypadek. Zrobiono to celowo!

Kincaid wpatrywał się w niego.

— Chcesz powiedzieć, że ta hołota Hurrimana w jakiś sposób sabotuje nasz projekt?

Doug Norris przerwał mu kręcąc przecząco głową.

— Nie o to chodzi. Hurriman i jego polityczni kumple chcą dorwać projekt proxy w swoje łapy, a nie go zniszczyć.

— W takim razie kto zniszczył nasze proxy? — dopytywał się Kincaid.

Norris odpowiedział podekscytowany.

— Uważam, że w tych jaskiniach natrafiliśmy na żywe istoty i to one nas atakują.

Kincaid chrząknął.

— Temperatura w szczelinach wynosi około czterystu stopni Celsjusza, czyli tyle samo, co po stronie słonecznej Merkurego. Życie nie może istnieć w takim gorącu. Sugeruję, abyś trochę sobie odpoczął.

— Wiem o tym wszystkim — oznajmił niecierpliwie Norris. — Ale przypuśćmy, że natrafiliśmy tam na nowy rodzaj życia – taki, który opiera się na materii radioaktywnej? Biolodzy niejednokrotnie spekulowali na ten temat. Teoretycznie istoty z materii radioaktywnej mogłyby istnieć, czerpiąc swoją energię nie z metabolizmu chemicznego jak my, ale z ciągłego procesu rozpadu radioaktywnego.

— Teoretycznie niebo może być wielkim dachem z dużą liczbą dziur, które robią za gwiazdy — warknął Kincaid. — Wszystko zależy od tego, w czyją teorię wierzysz.

— Za każdym razem, gdy tam w dole ulegał zniszczeniu jakiś proxy, w pobliżu pojawiały się małe chmurki ciężkiego, radioaktywnego gazu — argumentował Doug Norris. — Każda z nich wydaje się posiadać gęstszy rdzeń. Przypuśćmy, że rdzeń ten jest nieznanym związkiem radu, który wyewoluował w jakiegoś rodzaju strukturę neuronową, zdolną do odbierania i zapamiętywania bodźców? Rodzaj swoistego, radioaktywnego mózgu?

— Gdyby tak było, a biolodzy stwierdzili, że jest to możliwe, to ciało stworzenia składałoby się się z gazu radonowego emanującego z rdzenia radowego. Pamiętasz, że czas połowicznego rozpadu radonu równa się dokładnie szybkości jego emisji z radu, więc istniałaby pewna stała równowaga gazowego ciała takiej istoty, analogiczna do naszego układu krążenia. Biorąc pod uwagę warunki panujące na Merkurym, nie jest to bardziej niemożliwe niż w przypadku meduzy czy człowieka, tutaj na Ziemi!

Kincaid wyglądał na sceptycznego.

— I myślisz, że te twoje hipotetyczne, żywe Promieniaki atakują nasze proxy? Dlaczego miałyby to robić?

— Jeśli posiadają zdolności poznawcze i korelacyjne, to mogą być rozdrażnione emanacją lamp ze skrzynek sterujących naszych proxy —

zasugerował Norris. — Dostają się do tych skrzynek sterujących i niszczą obwody lampowe poprzez przeciążenie przepływu elektronów własnym promieniowaniem beta!

— Ta całą sprawa idzie dość daleko — mruknął jego przełożony. — Radioaktywne życie! Ale te wszystkie rozwalone proxy nie mogą być tylko przypadkiem. — Przerwał na chwilę, po czym dodał ponuro: — Ale już widzę jak mówię komisji Rady Światowej, że te twoje hipotetyczne żywe Promieniaki są tym, co uniemożliwia nam dostarczenie uranu! Hurrimanowi by się to spodobało. Przekonałoby to Radę, że jestem tak niekompetentny, jak twierdzi.

— On i tak przekona o tym Radę, chyba że szybko dostarczymy uran z Merkurego — zaripostował Norris. — A nie uda nam się tego zrobić, dopóki nie załatwimy tych Promieniaków. To w zasadzie tylko złożone chmury radioaktywnego gazu. Proxy uzbrojony w wysokociśnieniowy wąż gazowy powinien być w stanie rozwalić je na strzępy. Nie możemy tego spróbować, Mart?

Kincaid westchnął i wstał.

— Kiedyś byłem praktycznym człowiekiem — stwierdził tęsknym tonem — i wykopałbym cię stąd natychmiast, gdybyś mi coś takiego zasugerował. Ale w chwili obecnej jestem niemalże topielcem, więc kupię te twoje głupoty. Wyślemy na dół parę proxy uzbrojonych w węże gazowe i zobaczymy jak sobie poradzą.

Doug Norris ochoczo udał się ze swoim przełożonym do sąsiedniego pomieszczenia, w którym dyżurowali operatorzy proxy z bazy.

— Norris i ja przejmiemy dwa proxy z bazy — powiedział Kincaid do przebywającego tam podkomendnego.

Dwóch operatorów zdjęło hełmy i wstało z krzeseł. Norris zajął miejsce jednego z nich, zakładając hełm telewizyjny.

Wiązki kontrolne i telewizyjne były włączone. Kompaktowe lampy kineskopowe w jego hełmie dawały mu wyraźny obraz Bazy na Merkurym, widzianą przez „oczy” ikonoskopu proxy.

Nie było tam żadnych budynków, bowiem proxy nie potrzebowały schronienia. Pod brązowym niebem, pod ogromnym Słońcem, którego blasku nawet filtry ikonoskopu nie mogły zbytnio zredukować rozciągały się czarne skały. Baza była tylko płaskim obszarem obok niskich skalistych wzgórz. Po jednej stronie spoczywał bezzałogowy statek, z otwartymi włazami. W jego pobliżu znajdowały się magazyny zaopatrujące w części proxy, warsztaty naprawcze, elektrownia.

— Ze składowiska zaopatrzeniowego weźmiemy kilka zbiorników z tlenem i z wężami gazowymi, użyjemy ich do twojej broni — mówił Kincaid.

Proxy, którymi kierowali, nie wyglądały jak ludzie. Wyglądały jak to, czym były – maszynami przeznczonymi do specjalnych celów. Przypominały małe czołgi, zamontowane na podwoziach gąsienicowych, każdy miał dwa duże przegubowe ramiona zakończone pazurami i skrzynkę sterującą z oczami ikonoskopu. Zamocowały na sobie wysokociśnieniowe zbiorniki z tlenem, chwyciły za dysze podłączonych do nich węży i wytoczyły się z Bazy przez spieczoną równinę w kierunku

czarnych skalistych wzgórz. W ciągu kilku minut weszły w wąską rozpadlinę Szczeliny Czwartej.

Norris znał drogę na dół. Prowadził, z włączonym reflektorem, mimo że tak naprawdę nie był mu on potrzebny. Ikonoskopowe oczy proxy widziały dzięki promieniowaniu podczerwonemu emitowanemu przez rozgrzane do granic możliwości ściany skalne.

W końcu dotarli do położonego głęboko w szczelinie miejsca, w którym wciąż stał jego niepełnosprawny były Proxy. Doug Norris sięgnął swoimi przegubowymi ramionami i szybko odczepił osłonę jego skrzynki sterującej.

— Spójrz tylko, Mart! Całe sterowanie zostało rozwalone! Robią to przez przeciążenie lamp własną emanacją beta, zgadza się.

Proxy Kincaida podszedł bliżej, jego wielkie ikonoskopowe oczy przyglądały się uważnie. Na Ziemi, w biurze, Kincaid wydał z siebie chrząknięcie.

— To nadal nie dowodzi, że gaz, który to spowodował, był żywym stworzeniem. Zamiast tych twoich hipotetycznych Promieniaków, to mogło być…

— Popatrz tam! — krzyknął nagle Doug Norris. — Znowu się pojawiły!

Trzy ze świecących gazowych stworów unosiły się w ich kierunku wzdłuż szczeliny. Zatrzymały się na chwilę w sposób typowy dla żywych stworzeń, a potem pomknęły do przodu.

— Użyj węża gazowego! — krzyknął Norris do znajdującego się obok niego mężczyzny. — Nie pozwól im się do siebie zbliżyć!

Promieniaki posuwały się do przodu, w sposób bardzo przemyślany. Pomimo opóźnienia czasowego, Norris próbował unieść swój wąż gazowy i go uruchomić. Nie było na to czasu. Ośmiominutowe opóźnienie między jego działaniem a rezultatem tam na Merkurym było fatalnie długie. Jarzące się Promieniaki unosiły się wokół pary proxy.

Doug Norris został momentalnie oślepiony przez blask Promieniaka, który otoczył skrzynkę sterującą jego proxy. Spojrzenie w świecący, pulsujący rdzeń stworzenia, przypominało spojrzenie w gwiazdę.

Kiedy tak się wpatrywał, zahipnotyzowany przez wirujący jasny gaz i podobne do gwiazdy, pulsujące jądro, jego zmysły dziwnie się zakręciły. Wyczuwał mgliście, że rdzeń ten był rodzajem żywego stworzenia jakie mogło żyć na planecie kompletnie różnej od Ziemi, skrystalizowaną gazową strukturą neuronową, która używała jako ciała swoich własnych emanacji radonu.

Poczuł, że jego zmysły zataczają się, ciemnieją. Wyglądało to tak, jakby zahipnotyzował go blask tego pulsującego jądra światła, jakby wnikało ono w jego mózg.

W końcu Doug Norris wyszedł z tego stanu dziwnego oszołomienia i obudził się na Ziemi z pociemniałym hełmem. Nie mógł niczego zobaczyć. Próba użycia kontrolek proxy nie wywołała żadnej reakcji.

— Załatwiły, oba nasze proxy! — wykrzyknął Kincaid, oszołomiony zdejmując własny hełm. — I dostaliśmy jakiś wstrząsem zwrotnym.

Norris, wciąż mocno wstrząśnięty, przytaknął niepewnie.

— Musiało nastąpić jakieś sprzężenie zwrotne po wiązce sterującej, kiedy wysadziły skrzynki sterujące. Bezpieczniki mogły zadziałać zbyt wolno. — Dodał szybko: — Ale teraz przynajmniej wiadomo, że miałem rację! Te Promieniaki to żywe istoty, które instynktownie atakują nasze proxy!

Kincaid zmarszczył brwi.

— Na to wygląda. Ale wąż gazowy ani żadna inna broń nie zadziała przeciwko tym bestiom. Opóźnienie czasowe uniemożliwia użycie jakiejkolwiek broni. Naszą jedyną szansą jest uszczelnienie i zabezpieczenie skrzynek sterujących proxy przed ich promieniami. To zajmie trochę czasu. Ale to nasza jedyna szansa na wydostanie stamtąd uranu i musimy to zrobić, zanim klika Hurrimana przekona Radę. Każę chłopcom w trybie natychmiastowym sprowadzić wszystkie proxy do Bazy.

Norris poszedł za swoim szefem z powrotem do jego biura. Czekał tam na nich Winters, urzędnik z biura. Wyglądał na zaniepokojonego.

— Szefie, właśnie przyszedł biuletyn na taśmie informacyjnej — powiedział Kincaidowi. — Oto on.

Mart Kincaid przeczytał taśmę, a jego kwadratowe ramiona zdawały się nieco obwisnąć. Popatrzył na nich ciężkim wzrokiem.

— Nie będziemy musieli już dłużej martwić się o te twoje Promieniaki, Doug. Rada Światowa właśnie przyjęła wniosek Hurrimana z prośbą o natychmiastowe zbadanie Projektu Proxy. Rozpocznie się ono jutro. — Dodał bezbarwnym głosem: — Wiesz, co to oznacza. Kiedy stwierdzą, że tam na Merkurym utraciliśmy dziewięć cennych proxy, nie otrzymując jeszcze nawet grama uranu, wszyscy zostaniemy wyrzuceni.

— Do diabła z Hurrimanem! — wściekł się Doug Norris. — Projekt Proxy był od samego początku twoim dziełem! Napociłeś się, żeby stworzyć te wszystkie rzeczy. A teraz, przejmuje go banda bumelujących polityków, ponieważ pojawiła się jakaś przeszkoda!

— Tak to już bywa w życiu — wzruszył ramionami Kincaid. — Winters, powiedz chłopakom. Niech ściągną swoje proxy z powrotem do Bazy i wracają do domu. — Usiadł potem powoli w swoim fotelu i zaczął wpatrywać się w ścianę. — A więc to już koniec. No cóż, w tej chwili jestem za bardzo zmęczony, żeby się tym przejmować.

Norris poczuł ból serca.

— Czy nie ma szansy na przeciąganie sprawy na tyle długo, byśmy mogli wypróbować nasz pomysł z zabezpieczeniem proxy przed promieniowaniem?

— Wiesz, że nie ma — odparł jego przełożony. — Zrobienie tego wszystkiego zajęłoby nam wiele dni. Nawet jeśli zadziałałoby to przeciwko Promieniakom, to na wydobycie uranu potrzeba kolejnych tygodni. A banda Hurrimana nie będzie czekać tygodniami.

Popatrzył na zbolałą twarz młodszego mężczyzny, po czym otworzył szufladę biurka i wyjął z niej butelkę szkockiej oraz szklaneczki.

— Masz, napij się — polecił. — Jesteś jeszcze młody i bierzesz te sprawy zbyt poważnie.

Norris frasobliwie zadumany wypił szkocką. Ale jego nerwy, wciąż podrażnione tym dziwnym wstrząsem sprzężenia zwrotnego z wiązki, nie rozluźniły się zbytnio.

— Mart, twój spokój mnie nie zwiedzie — stwierdził. — Wiem, jak wiele znaczyły dla ciebie proxy; o marzeniach, jakie miałeś w kwestii wykorzystania proxy na innych planetach, na której człowiek nie jest w stanie postawić nogi osobiście, nawet na światach odległych gwiazd.

Kincaid wzruszył ramionami, nalewając drinka dla siebie.

— Jasne, myślałem o tym wszystkim. Ale czy naukowcy w ogóle kiedykolwiek byli w stanie wymanewrować polityków?

Ciemność wciskała się w okna, w miarę ja gęstniała noc. Siedzieli w milczeniu w ciemniejącym biurze popijając szkocką i spoglądając na wysokie, jasno oświetlone kominy odległej nowojorskiej elektrowni.

Doug Norris nie znalazł pocieszenia w piekących ukłuciach trunku. Jego poczucie niesprawiedliwości pogłębiało się. Proxy należały do Kincaida, ale tylko dlatego, że nie był w stanie dostarczyć uranu wystarczająco szybko, miały mu zostać odebrane.

Mówił o tym, z goryczą i długo. Kincaid tylko ponownie wzruszył ze zmęczeniem ramionami.

— Zapomnij o tym, Doug. Napij się jeszcze.

Norris odkrył z lekkim zaskoczeniem, że butelka była pusta.

— Musieliśmy chyba trochę rozlać — powiedział nieco głupio.

— W szufladzie jest jeszcze jedna butelka — chrząknął Kincaid. — Były na przyjęcie Projektu w przyszłym tygodniu, ale teraz to wszystko jest już nieaktualne.

Norris otworzył drugą butelkę i obficie napełnił im szklaneczki. Usiadł obok Kincaida, który spoglądał z okna na odległą elektrownię atomową. Pomimo fizycznej otoczki ciepła, jaką odczuwał, Doug Norris był jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż przedtem. Pojawił się w nim nowy, przejmujący smutek.

— Wiesz Mart, nie tylko to co Hurriman robi z Projektem, stanowi dla mnie przykrość — powiedział ze smutkiem. — Chodzi mi też o to, co stało się dzisiaj ze starym M-Pięćdziesiąt.

— M-Pięćdziesiąt? — zapytał Kincaid. — Masz na myśli tego proxy, którego straciłeś dziś po południu?

— Tak, to był mój specjalny proxy przez te wszystkie miesiące — odparł Doug Norris. — Zdążyłem go dobrze poznać. Był zawsze niezawodny, nigdy nie wyskakiwał ze swojej wiązki kontrolnej, nigdy nie działał niezdarnie w ciasnym miejscu. — Jego głos odrobinę się dławił. — Kochałem tego proxy jak brata. I zawiodłem go. Pozwoliłem, żeby te Promieniaki go zniszczyły.

— Naprawią go, Doug — zauważył Kincaid, z obfitą dozą współczucia w swym lekko ochrypłym głosie. — Będzie zupełnie jak nowy, kiedy odtransportują go do Bazy.

— Tak, ale co z tego, skoro nie będzie mnie tutaj, aby nim kierować? — zawołał Norris. — Mówię ci, że ten proxy mnie wyczuwał. Znał mój dotyk na urządzeniach sterujących. Ten proxy umarłby za mnie.

— Pewnie, że by umarł. — Kincaid skinął głową z ogromną dawką zrozumienia. — Masz, napij się jeszcze, Doug.

— Mam już dosyć — odparł ponuro Norris, dolewając im do szklaneczek w trakcie kiedy to mówił. — Ale jak już mówiłem, ten proxy nie będzie działał dla bandy polityków i ich operatorów o ciężkich łapskach, tak jak działał dla mnie. Będzie wiedział, że mnie już nie ma i nie będzie taki sam. Będzie tęsknił.

— Tak to już jest, Doug — stwierdził smutno Kincaid. — Ty tracisz swojego najlepszego przyjaciela – to znaczy, swojego najlepszego proxy – a ja tracę mój Projekt, tylko dlatego, że nie możemy dostarczyć wystarczająco dużo uranu do produkcji energii – tam.

Machnął z goryczą ręką w stronę odległych stosów nowojorskiej elektrowni, które daleko w ciemnościach strzelały w górę jak wieże światła.

— Wiesz, przyszedł mi do głowy pewien pomysł w związku z tym — dodał powoli Kincaid, ciągle wpatrując się w te wieże.

Doug Norris przytaknął ze zrozumieniem.

— Masz cholerną rację, Mart. Masz absolutną rację.

— Zaraz, poczekaj, nie słyszałeś jeszcze mojego pomysłu — zaprotestował Kincaid nieco niewyraźnym głosem. — A więc, jest tak – tracimy Projekt, ponieważ nie jesteśmy w stanie dostarczyć wystarczającej ilości uranu do produkcji energii. Ale przypuśćmy, że nie będą już potrzebowali uranu do zasilania? Wtedy pozwoliliby nam zatrzymać Projekt Proxy!

— Dokładnie to samo, co ja mówiłem! — oświadczył stanowczo Norris. — Możemy zrobić tylko jedną rzecz. Znaleźć sposób na produkcję energii atomowej z jakiejś bardziej pospolitej substancji niż uran. To rozwiązałoby cały nasz problem.

— Myślałem, że to ja to powiedziałem — zauważył Kincaid, zdziwiony. — Ale posłuchaj – jaki w miarę powszechnie występujący metal mógłby zostać użyty do zastąpienia uranu w stosach atomowych?

— Bizmut, oczywiście — odpowiedział szybko Norris. — Jego liczba atomowa jest najbliższa serii pierwiastków radioaktywnych.

— Wyjąłeś mi te słowa prosto z ust! — oświadczył Kincaid. — Bizmut to jest to. Jedyne co musimy zrobić, to sprawić, aby bizmut działał w stosie atomowym, wtedy będziemy mogli prowadzić Projekt Proxy bez tego wiecznego zrzędzenia o dostarczanie uranu.

Doug Norris poczuł ciepłą, radosną ulgę.

— Przecież, to jest proste! Powinniśmy byli pomyśleć o tym już wcześniej! Zabierzmy trochę bizmutu z magazynu i od razu chodźmy do elektrowni! — Zerwał się na nogi, ochoczo, choć nieco niepewnie. — Nie ma czasu do stracenia, jeśli komisja Rady ma nam wsiąść jutro na karki!

Doug Norris miał ochotę śpiewać w przepełniającej go wspaniałej uldze, gdy wraz z Kincaidem schodzili przez opustoszały teraz budynek Projektu do magazynu. W rzeczywistości, zaczął wznosić głos w sprośnej balladzie o przygodzie proxy, z panią automat.

— Musiałeś wypić trochę za dużo szkockiej, Doug — Kincaid upomniał go z sowim dostojeństwem. — Taki brak powagi nie przystoi dwóm naukowcom, którzy właśnie mają dokonać najwspanialszego odkrycia stulecia.

Wzięli jeden z ciężkich ołowianych cylindrów używanych do transportu uranu i wypełnili go ostrożnie sproszkowanym bizmutem. Potem, w samochodzie Kincaida, pojechali radośnie w kierunku wielkiej elektrowni.

Strażnicy przy szlabanie znali ich obu, bowiem nie było niczym nowym, że ludzie z Projektu Proxy przywozili uran do elektrowni. Przepuścili ich i samochód ruszył prostą, cementową drogą.

Ogromne, pozbawione okien budynki, w których mieściły się masywne stosy uranowe, znajdowały się o milę dalej. Nikt jednak nie zbliżał się do tych ogromnych stosów jądrowych. Wszystko w nich musiało być sterowane zdalnie przez kilku techników w budynku głównym, którzy utrzymywali stosy w ruchu.

— Mart, czy to nie dziwne, że nikt wcześniej nie pomyślał o użyciu bizmutu zamiast uranu? — spytał Norris, wyrwany ze swej otoczki różanego blasku.

— Naukowcy są za bardzo ko-konserwatywni, w tym tkwi problem — odparł mądrze Kincaid. Jego głos uderzył w górnolotne pienia. — Wkrótce r-rozpoczniemy nową epokę! Nie trzeba się już będzie martwić o niedobór uranu! Koniec z politykami przeszkadzającymi w realizacji projektu!

— A ja będę mógł naprawić starego M-Pięćdziesiąt i znów go poprowadzić — dodał Doug Norris. Po raz kolejny głos zdusiło mu wzruszenie. — Kiedy pomyślę o tym proxy, który był dla mnie jak brat, leżącym samotnie w tej szczelinie, z Promieniakami świecącymi nad nim…

— Nie myśl o tym, Doug — błagał go Kincaid, z gorącym współczuciem. — Zaraz jak tylko zmodyfikujemy te stosy atomowe, wracamy do siebie, postawimy starego dobrego M-Pięćdziesiąt z powrotem na nogi i naprawimy go tak, że będzie jak nowy.

Ta obietnica pocieszyła pogrążony w smutku umysł Norrisa. Wysiadł i pomógł Kincaidowi wnieść ciężki ołowiany cylinder do głównego budynku elektrowni.

Technicy, których mijali w pomieszczeniach na dole, nie widzieli nic zaskakującego w dwóch ludziach z Projektu, zataczających się pod ciężarem cylindra. Podobnie, przynajmniej początkowo, Petersen i Thorpe.

Petersen i Thorpe byli to dwaj technicy, dyżurujący w ogromnej, budzącej wrażenie komorze dyspozytorni. Przez wizory widać było każdy element odległych, potężnych stosów atomowych – masywne ołowiane wieże, które otaczały grafitowe i uranowe kraty, rurociągi gazowe, prowadzące do gigantycznych turbin cieplnych, mierniki i wskaźniki. Zaś

rzędy ciężkich dźwigni mogły przełączać te kraty, dokonywać dowolnych zmian w stosach, bez konieczności wchodzenia człowieka w strefę niebezpiecznego promieniowania.

Gdy Petersen witał się z dwoma naukowcami, na jego ozdobionej okularami, uczonej twarzy widniało zdziwienie.

— Nie wiedziałem, że macie dla nas kolejną przesyłkę uranu — powiedział.

Kincaid pomógł Norrisowi umieścić ołowiany cylinder w otworze rury, która miała go mechanicznie przenieść do odległego stosu.

— To nie uran – t-to coś lepszego niż uran — oznajmił Kincaid z impetem.

— Co przez to rozumiecie, lepszego niż uran? — Petersen spytał zdumionym głosem. Otworzył koniec ołowianego cylindra. — Przecież, ten materiał to bizmut! Co to ma być, jakiś szalony żart?

Młody Thorpe przyjrzał się uważnie Kincaidowi i Norrisowi.

— Oni obaj są kompletnie nawaleni! — wybuchnął.

Kincaid wyciągnął się niepewnie w postawie oburzonej godności.

— To takie p-podziękowania otrzymujemy — oskarżył bełkotliwie. — M-my tu przychodzimy, aby wykonać cudowne usprawnienie w waszych cholernych przestarzałych s-stosach atomowych, a wy nas obrażacie.

— Thorpe — polecił z obrzydzeniem Petersen, — zabierz ich stąd i… Uwaga!

Doug Norris niby mimochodem zdjął ciężki metalowy uchwyt z jednej z dużych dźwigni. Walnął nim Thorpe'a w głowę w momencie, gdy Petersen wydał z siebie swój ostrzegawczy okrzyk. Młody technik osunął się na podłogę.

Petersen, nagle pobladły, rzucił się w stronę przycisku alarmowego na pulpicie. Ale zanim go dosięgnął, zaimprowizowana pałka Norrisa sięgnęła jego głowy. Tak więc, Petersen również rozciągnął się jak długi na podłodze.

Norris popatrzył triumfalnie na Kincaida, z ciepłym poczuciem słusznej sprawy.

— Nie będą nam teraz p-przeszkadzać, Mart. Po p-prostu uśpiłem ich na chwilę, nie robiąc im żadnej krzywdy.

— Grunt to szybkie my-myślenie, Doug! — potwierdził ciepło Kincaid. — Nie można pozwolić, aby r-reakcjoniści utrudniali bieg postępu naukowego. Lepiej z-zwiążmy ich na wypadek, gdyby zbyt szybko się ocknęli.

Norris pomógł związać dwóch nieprzytomnych ludzi kawałkami zapasowego kabla. Potem on i Kincaid stali, kołysząc się lekko, gdy sowimi oczami przeglądali urządzenia sterujące potężnymi stosami atomowymi.

Norris wiedział co nieco o tych urządzeniach. Był tu wiele razy, a Petersen i inni technicy lubili sobie pogadać. Problem polegał na tym, że właśnie teraz jego myśli wydawały się być nieco zamglone.

— To, co musimy z-zrobić — oznajmił podniesionym głosem Kincaid, — to zmienić ustawienia stosu atomowego tak, aby wykorzystywał on b-bizmut zamiast uranu. Prawda?

— Racja! — potwierdził entuzjastycznie Norris. — To t-trafia prosto w sedno problemu, stary druhu!

Kincaid zdawał się rumienić, odżegnując się.

— Och, po prostu lubię myśleć po kolei. Pierwszym krokiem b-będzie więc usunięcie uranowych kratownic ze stosów.

Położył dłonie na kilku dźwigniach, poruszając jedną po drugiej. Gdzieś rozległ się niski pomruk maszyn.

W dalekiej, strzelistej budowli, wyładowane uranem kratownice były mechanicznie wyciągane do leżących w dole magazynów. Tutaj jednak nie działo się nic poza zmianami na panelu wskaźników.

Petersen w tym momencie wrócił do świadomości. Przywiązany do poręczy przy ścianie, zesztywniał i wybałuszył na nich oczy.

— Co wy robicie? — zawołał. — Przerywacie produkcję prądu, wyciągając te kraty!

— Tylko t-tymczasowo — zapewnił go Norris. — Przyciągniemy puste kratownice z p-powrotem, a potem załadujemy na nie bizmut.

Petersen wydał skowyt agonii.

— Wy szaleńcy, zniszczycie cały stos, jeśli spróbujecie czegoś takiego! Na litość boską, wytrzeźwiejcie i pomyślcie co robicie!

— Próbujemy m-myśleć — oznajmił surowo Kincaid. — Ale jak możemy się s-skoncentrować, kiedy ty wrzeszczysz na nas?

Petersen przeszedł od wściekłych rozkazów do pełnych udręki błagań, a następnie do łzawych błagań. Dwaj przybysze zignorowali go całkowicie.

— Z-zobaczmy — powiedział Kincaid, mrugając oczyma. — Pomimo wszystko zostawimy w numerze jeden kratownicę uranową. Będziemy p-potrzebowali jej neutronów do uruchomienia rozszerzającej się reakcji w kratownicach grafitowych i bizmutowych.

— Będziemy p-potrzebowali dwóch kratownic uranowych — poprawił do bełkotliwie Doug Norris. — Jednej do wyzwolenia p-początkowej reakcji, drugiej aby d-dostarczała neutronów dla nieustannego parcia, które przepchnie liczbę atomową bizmutu z wartości osiemdziesiąt trzy do dziewięćdziesięciu czterech, prosto przez n-neptun do p-plutonu.

— M-masz rację — zgodził się Kincaid, z lekką czkawką w głosie. — Zapomniałem na chwilę o tej drugiej kratownicy. Pewnie to p-przez ten cały hałas tutaj.

Petersen rzeczywiście ciągle wydawał z siebie spory hałas. Robił się coraz głośniejszy i coraz bardziej gorączkowy, gdy widział, jak wysuwają uranowe kratownice i zastępują je niezdarnie kratownicami pustymi.

— Dziesięć tysięcy naukowców pracuje od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, żeby znaleźć sposób na wykorzystanie w stosie zwykłych pierwiastków zamiast uranu! — wykrztusił. — Nie potrafią

tego dokonać. A dwóch pijanych facetów od proxy zamierza tego tak po prostu spróbować!

Norris prawie nie słyszał tego potoku pełnych męki oskarżeń i błagań, bo pomagał Kincaidowi przesuwać puste kratownice. Było mu łagodnie przykro, że Petersen czuł się tak zaniepokojony. Nie było ku temu żadnych powodów. On i Kincaid wiedzieli dokładnie, co robią.

A może, jednak? Przez chwilę przez zamglony umysł Norrisa przemknęła mglisty cień wątpliwości. W końcu on i Kincaid nie byli fizykami. Potem odrzucił tę wątpliwość. Przecież był absolutnie pewien tego, co robią, prawda?

Kincaid usiadł niepewnie, gdy zmienili kraty.

— Cszuję się od-drobinę wst-trząśnięty. T-to reakcja em-mocjonalna z osiągnięcia wielkiego naukowego odkrytsia.

— Emocjonalna reakcja-srakcja – jesteś tak nawalony, że prawie odpływasz! — wściekał się Petersen.

Kincaid zignorował to z godnością.

— Włącz ł-ładowarkę i strzel tam ten s-stary dobry bizmut, Doug.

— Norris, nie rób tego! — błagał Petersen ochryple. — To oznacza zniszczenie stosu, a może wysadzenie całej Stacji!

Znowu Douga Norrisa zaniepokoiły jego mgliste wątpliwości. Ale po raz kolejny, odrzucił je. Wszystko w jego umyśle było tak pięknie jasne. To musiało się udać.

Włączył ładowarkę. Ołowiany cylinder z bizmutem zsunął się do rury, która miała go przenieść do stosu, gdzie miał zostać automatycznie załadowany do nowych pustych kratownic.

— Wy głupcy! — wykrztusił Petersen. — Mam nadzieję, że was obu za to powieszą! Kiedy ten stos się uruchomi i wybuchnie…

Działanie wielkiego stosu atomowego było od tej chwili automatyczne. Kilka minut później zadzwonił dzwonek i kliknęły wskaźniki.

— Pierwsza kratownica uranowa została uruchomiona — powiedział Kincaid i skinął głową, zadowolony. — Teraz otrzymamy energię – d-dużo energii.

— Nie otrzymacie niczego, poza może eksplozją atomową w ciągu dziesięciu sekund! — zawołał Petersen, jego twarz zrobiła się śmiertelnie biała.

Doug Norris nagle poczuł, że jego zwątpienie znowu wzbiera w nim i tym razem go ogarnia! Cała jego poprzednia zamglona pewność siebie zdawała się go opuszczać, gdy skończyli swoje przygotowania.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że on i Kincaid zrobili coś szalonego i straszliwego. Dlaczego to, na Boga, zrobili? Jakie szalone dziwactwo w ich umysłach kazało im to zrobić?

Kincaid nagle również zaczął wyglądać blado i dziwnie.

— Doug, może nie powinniśmy byli tego próbować.

— Popatrzcie na te liczniki! — krzyknął Petersen, szalonym głosem.

Oczy technika wręcz wychodziły z oczodołów, gdy wpatrywał się w wielki zestaw amperomierzy, które rejestrowały wydajność ogromnych turbin. Igły pięły się po tarczach wraz z szybko rosnącym natężeniem prądu.

— Stos działa! — krzyczał Petersen ochryple. — Ten bizmut rzeczywiście produkuje energię atomową!

Doug Norris poczuł się nagle zimno trzeźwy i wstrząsnęły nim lekkie mdłości. Usiadł chwiejnie i schował głowę w dłoniach.

Kincaid wpatrywał się pusto w amperomierze, podczas gdy Petersen i Thorpe zdawali się szaleć z podniecenia. Kiedy Petersen został rozwiązany, chwycił Kincaida zapalczywie za ramiona.

— Jak to zrobiliście? — zawołał. — To, co przed chwilą zrobiliście z tym stosem?

Kincaid wpatrywał się w niego pustym wzrokiem.

— Nie wiem, teraz.

— Nie wiesz? — Petersen niemalże wrzasnął na niego. — Człowieku, wpadłeś na to, czego naukowcy szukali przez te wszystkie lata – na sposób wykorzystania powszechnie występujących pierwiastków, w stosie atomowym! Musieliście wcześniej coś wymyślić!

— Nic nie wymyśliliśmy! — słabo Norris zaprzeczył. — Trochę się napraliśmy i wpadliśmy na ten pomysł. Nie wiedzieliśmy, co robimy.

Nagle Doug Norris zesztywniał. Pamięć poderwała go jednym susem na niepewne nogi, gdy w pełni do niego dotarła.

— Nie mogliście zrobić czegoś takiego czystym szalonym przypadkiem! — upierał się Petersen. — Musieliście wiedzieć jak!

— Na Boga, wydaje mi się teraz, że rzeczywiście wiedzieliśmy, co robimy, w jakiś dziwny sposób! — Norris wykrzyknął wstrząśnięty. Chwycił Kincaida za ramię. — Mart, chodź ze mną! Wracamy do projektu!

Oszołomione zdumienie Petersena zmieniało się w uniesienie.

— Cokolwiek zrobiliście, to nadal działa i wygląda na to, że będzie działać bez końca! A my możemy studiować ten trick i nauczyć się go powielać, nawet jeśli nigdy go do końca nie zrozumiemy. Wy dwaj, szaleńcy, będziecie sławni!

Ale Norris już wyprowadzał osłupiałego Kincaida z pomieszczenia.

Przez całą drogę powrotną do Projektu Proxy, Kincaid powtarzał oszołomiony w kółko to samo.

— Musieliśmy mieć naprawdę popieprzone w głowie, żeby zrobić coś takiego! Ale jak to się stało, że udało nam się zrobić to dobrze?

— Czy nie podejrzewasz jeszcze odpowiedzi na to pytanie? — zawołał Doug Norris. — Nie rozumiesz dlaczego, kiedy tylko nasze świadome umysły zostały rozluźnione przez kilka drinków, automatycznie poszliśmy i wykonaliśmy operację całkowicie wykraczającą poza współczesną wiedzę ludzkości na temat nauk nuklearnych? Co się z nami działo tuż przed wypiciem tych drinków? Co się stało, gdy nasi proxy spotkali się z tymi Promieniakami w dole w szczelinie?

— Promieniaki? — Kincaid powtórzył tępo. — Co te zwierzaki mogą mieć z tym wspólnego?

— Myśleliśmy, że to tylko zwierzaki, niska forma dziwacznego życia radioaktywnego — powiedział Norris. — A co jeśli ich dziwne umysły są

inteligentne, niesamowicie inteligentne? Jest to rodzaj inteligencji, która nie działa zgodnie z naszymi celami ani w sposób taki jak nasz, ale która jest równie wysoka lub wyższa od naszej?

Niemal zaciągnął oszołomionego Kincaida do opustoszałego już biura, do pulpitów sterujących proxy, w Bazie.

— Weź proxy i podążaj za mną — rozkazał Norris. — Mam pewien pomysł, i jeśli znów zejdziemy w tę szczelinę, będziemy mogli to udowodnić

— Udowodnić co? — zapytał Kincaid, ale mechanicznie posłuchał i przejął kontrolę nad proxy.

Ponownie, Norris i Kincaid poprowadzili swoje proxy z Bazy, przez spieczoną równinę Merkurego, w kierunku Szczeliny Czwartej. Norris zerknął w dół do szczeliny, gdy ruszył naprzód. Kiedy zobaczyli wraki proxy, które wcześniej tam zostawili, zobaczyli również świecące małe chmurki, które szybko płynęły w ich kierunku.

Promieniak wzniósł swoje świecące gazowe ciało, aby otoczyć skrzynkę sterującą proxy Norrisa. Ponownie, gdy wpatrywał się w jaskrawe, pulsujące jądro stworzenia, poczuł, że jego zmysły dziwnie się chwieją. Lecz tym razem wiedział już ponad wszelką wątpliwość, co to jest.

— Hipnoza! — krzyknął do Kincaida. — Hipnoza działająca przez oczy naszych proxy, wstecz prosto wzdłuż wiązki do naszych własnych oczu i mózgów! Tak myślałem! — Jego krzyk zamarł, gdy mózg zwinął się mu pod potężnym hipnotycznym wpływem pulsującego, gwiezdnego rdzenia Promieniaka.

Hipnoza mogła działać drogą wizualną, każdy to wiedział. Nikt nie marzył o hipnozie działającej w przestrzeni kosmicznej za pomocą łącznościowej wiązki telewizyjnej, ale tak się właśnie stało. Doug Norris, opierając się teraz przy pomocy nowo odkrytej wiedzy, tylko słabo wyczuwał potężny rozkaz hipnotyczny, wysyłany przez pulsujący mózg Promieniaka w jego własny umysł.

— Nie będziecie już więcej wysyłali tutaj swoich prymitywnych maszyn, aby zakłócać nasze filozoficzne zadumy! — surowo nakazywała mu hipnotyczna myśl Promieniaka. — Nie ma dalszej potrzeby. Kiedy wyczytaliśmy z waszych umysłów, że to potrzeba uranu do waszych prymitywnych elektrowni była motywem waszego wtargnięcia tutaj, daliśmy waszym mózgom posthipnotyczną wiedzę, jak ulepszyć te elektrownie, abyście nie musieli tu więcej przybywać. Idźcie więc i nie wracajcie!

Pod tym potężnym hipnotycznym rozkazem, zarówno Norris jak i Kincaid zawrócili swoje Proxy i uciekli z powrotem w górę szczeliny.

Dopiero gdy ponownie dotarli do Bazy, dopiero gdy zerwali hełmy telewizyjne, Doug Norris poczuł, że ten potężny hipnotyczny nakaz rozluźnia się.

— Jest tak jak podejrzewałem! — zawołał. — To Promieniaki umieściły tę wiedzę w naszych umysłach! Kto mógłby lepiej niż one znać się na naukach nuklearnych?

Kincaid wpatrywał się w niego, szczęka mu opadła.

— A potem, abyśmy przestali im przeszkadzać, zrobiły to wszystko poprzez posthipnotyczne polecenia działające wstecz po wiązkach naszych własnych proxy?

— Tak! — zawołał Doug Norris. — Ironia losu, czyż nie? One zadziałały wstecz wzdłuż naszych własnych wiązek i zrobiły proxy z nas!

KONIEC